

Od autora: Tym razem ku pokrzepieniu serc, cokolwiek by to nie znaczyło i jako ostrzeżenie :) Serdecznie zapraszam do lektury i dzielenia się refleksjami!

1

- Znów pijesz? – zapytała z przejęciem Nicole.
- Tak. Życie mnie boli – odparł leniwie Ruby.
- Masz więcej niż inni. Czasem ludzie potrafią cieszyć się z drobiazgów. Ty do nich nie należysz.
- Może.
- I whisky nie zastąpi ci szczęścia, jeśli nie przejrzysz w końcu na oczy. Małe jest piękne.
- Mam małe wymagania.
- Masz ogromne oczekiwania, ale stać cię tylko na picie i ucieczkę.
- Gdybym miał się znów urodzić, wolałbym zawitać na tym świecie jako żaba.
- Życie to nie jedzenie popcornu – to walka i miłość.
- Jak zwykle masz rację, tylko czemu ja ciągle piję?
- To taki odruch warunkowy. Wyuczony. Jak ratunek przed utonięciem.
- Tak, Nicole, ja tonę.
- Masz nas.
- Każdy ma jakichś „nas”.
- Ty masz żonę i córkę. Nie zapominaj o tym.
- Każdego dnia budzę się z lękiem, że w moim życiu nic się już nie wydarzy, że zmarnuję je na duperele, na obiady, śniadania, wizyty u twojej matki i spłacanie kredytów. To za mało, by chcieć żyć. Nie jestem zwierzęciem. Chciałbym poczuć się kimś innym, poczuć, co to radość i samozadowolenie.
- A my? My się nie liczymy?
- Wy to codzienność. A co z marzeniami?
- Zawsze jest na nie czas.
- Do tego trzeba siły. Ja jej nie mam.

Fred Bronson, niedoszły samobójca, miał rację – życie to nie beztrudne pływanie surfingiem po łagodnych falach, kiedy dookoła spragnione piękna oczy pieści ogrom cichego błękitu.

To sport ekstremalny.

Czasem przeżyjesz, innym razem odpadasz, jak zeschły liść z jesiennego drzewa.

I obracasz się w popiół.

Jak on tamtego lata, kiedy próbował powiesić się w lesie.

Sznur się urwał i Lee wrócił dość szybko do starej biedy, z której próbował już uciekać dwa razy – raz wybawieniem miał być luminal i wódka, drugim razem żyletka.

W obu przypadkach żelazny organizm przetrwał atak na siebie.
W domu wariatów można odnaleźć pokręconą odmianę przyjaźni.
Ale potem zabawa się kończy – pora do domu.
Życie zbyt łatwo przechodzi od kwiatka do kopa.

2

- Kochanie, znów załaziłeś się w trupa. Candy miała z tobą odrabiać lekcje. Jesteś do niczego. Miałeś z tym skończyć. To nas zabija – rzekła z troską w głosie Nicole.
- Gram pierwsze skrzypce w Orkiestrze Codziennego Koszmaru – odparł głupkowato Ruby.
- A wizyta na Fountain Avenue?
- Jeszcze nie wiem.
- Pan Rogers to specjalista.
- Ilu pijaków już wyleczył? Wiesz? Dwóch, trzech, żadnego?
- Nie wiem, nie mogę tego wiedzieć.
- Mnie nie wyleczy.
- Bo tego nie chcesz.
- Bo jestem chodzącym gównem.
- Nie mów tak o sobie – jesteś człowiekiem, który się po prostu pogubił w życiu.
- Jestem zerem i dobrze o tym wiesz. Taki mąż to obciach.
- Pamiętam.
- Co?
- Nasze początki, naszą miłość.
- Ja nie. Wszystko, co pamiętam, to adresy sklepów z whisky. Marnujesz się przy mnie.
- A wiosnę nad strumieniem pamiętasz? Ten mały, zielony namiot? W nim stałam się kobietą. Twoją kobietą.
- To przeszłość.
- Ale jest nami.
- Była. Od tamtej pory nic nie jest już takie samo.
- Ja jestem.
- Ty jesteś z innej planety.
- Jestem zwykłą dziewczyną.
- Nie.
- A kim?
- Najlepszą rzeczą, jaka mogła się przydarzyć komuś innemu.

Wstał z tapczanu, podszedł chwiejnym krokiem do barku, wyjął butelkę whisky i nalał sobie pełną szklankę. Już nawet nie rozcieńczał. Wypił duszkiem. Na jego twarzy pojawiło się zadowolenie.

Wrócił do rozmowy:

- Ed Koldovsky, który był legendarnym, lokalnym bitnikiem, chodził do niego na wizyty, po tym, jak został kimś i nagrał „*Cool Indian Girl*”. Potem wylądował w domu wariatów, gdzie napisał swoją autobiografię, a potem skoczył z dachu i się zabił. Tyle warte to leczenie.

To strata czasu. Można równie dobrze własnym ciałem zahamować bieg Missisipi – efekt będzie tak samo żaloszny.

- Nie mów tak. Lekarze umieją przeprowadzić odwyk.

- Wszyją ci espectral, tak? I tak większość pijaków go przepija i żyje dalej.
- Są tacy, którzy tego nigdy nie robią.
- Kto?
- Ty, na przykład, jak już tam pójdziesz. Daj szansę sobie i mnie.
- To chyba niemożliwe.
- Wszystko jest możliwe, dopóki jestem obok.

3

Poszedł na Fountain Avenue.

Szedł ulicami miasta i dziwił się, że ludzie wciąż są uśmiechnięci, wciąż pędzą do pracy, do żon, mężów i swoich dzieci. Gotować rodzinne obiady i je zjadać. Słuchać radia. Marzyć.

Ten wszechobecny ruch i pośpiech przerażał go i zastanawiał – czy to gra warta świeczki.

Czy życie to nie podły oszust, który kiwa w najmniej oczekiwanym momencie?

Czy nie obiecuje rzeczy, których nie może spełnić?

Czy nie jest w końcu złudzeniem i urojeniem, które jest snem we śnie...

Nie pracował od miesięcy.

To Nicole, ze swojej marnej pensji nauczycielki, spłacała kredyt za dom.

Było mu to w zasadzie obojętne, skąd napłyną pieniądze.

Jego wylali z pracy za pijaństwo i notoryczne wszczynanie awantur z personelem.

Potem pił już ostro, żadnej pracy nie szukał – mało go to obchodziło.

Osiadł na mieliźnie własnego, małego bytu i karmił go codziennymi porcjami whisky.

Bywało, że wymiotował po picciu, pił dalej i znów wymiotował.

Jadł mało, organizm pracował już na innych obrotach.

Nie dbał o niego jak o zbędny balast, który tak naprawdę niewiele znaczy.

Sprzedał całą swoją kolekcję płyt winylowych Johnnny'go Casha i innych gwiazdorów muzyki country, którą tak bardzo zawsze uwielbiał.

Teraz to się zmieniło – już tego nie potrzebował.

Wystarczyło mu, że ich pamięta.

Nie czuł nawet, że coś traci, że powoli umierają wszystkie jego zainteresowania.

Nowa rzeczywistość zastąpiła tę starą, uświęconą setką normalnych rytuałów.

Już nie było ich setki – był tylko jeden, barek i to, co w nim.

Szedł teraz Fountain Avenue i już wiedział, co robi, był tego absolutnie pewien.

Ta myśl, ta pewność dojrzała w nim od miesięcy, odkąd pochłonęło go morze alkoholu.

Do przełomowych kroków w życiu dochodzi się zazwyczaj stopniowo lub zupełnie nagle – on przeszedł tę pierwszą z dróg.

Nie od razu go olśniło, lecz teraz wiedział, że nie ma już powrotu – klamka zapadła.

W końcu był czegoś pewny, jak rzadko się bywa w natłoku dni i miesięcy.

Kiedy zobaczył wielki szyld „*Cowboy Travel*”, uśmiechnął się pod nosem i przyśpieszył kroku, co nie było łatwe, gdyż miał już za sobą trzy piwa i szklankę ukochanego napitku i nogi mu się mocno plątały. W zasadzie zataczał się od ściany do ściany. Był poważnie zdemolowany. Ale co tam – grunt to się nie dać, bodaj na parę chwil. Próbował zatem być w pionie i nie przewrócić się o własne sznurowadła.

- Macie wycieczki do Europy? – spytał, kiedy już pulchna dziewczyna w agencji zapytała go o cel jego wizyty.
- Oczywiście, proszę pana.
- A gdzie?
- Grecja, Włochy, Cypr, Hiszpania.
- Niech będzie Cypr. Dla dwóch osób.
- Dorosłych?
- Nie. Matka z córką.
- O! To jakiś prezent?
- Można to tak nazwać.
- Oferta zaraz będzie gotowa. Płaci pan gotówką?
- Jasne.
- Kocha pan żonę i córkę?
- Głupie pytanie, paniusiu.
- Nie chciałam pana urazić.
- Trzeba wiedzieć, jak to zrobić. Ile trwa ta wycieczka?
- Tydzień.
- Fajowsko.
- Jest pan zadowolony z naszej oferty?
- Jasne, bardzo.

Potem powlókł się z powrotem do domu, by pić na umór, aż Nicole wróci z pracy i zapyta go jakby nigdy nic, jak minął dzień, a ona głupkowato odpowie, że tak samo – żadnych zmian na zachodnim froncie. W międzyczasie zwymiotuje dwa razy. Potem znów pociągnie z butli. Znów zwymiotuje. Złapie go krótka, nerwowa, pijacka drzemka. Potem będzie już normalnie – whisky, whisky i jeszcze raz whisky...

4

- Co słychać? – spytała w drzwiach Nicole.
 - Nic. Siedziałem cały dzień w domu.
 - Nie wychodziłeś?
 - Nie, po co? Coś przyszło pocztą. Jakieś broszurki, czy coś w tym stylu. Zobacz sama.
 - Znowu wygrałam samochód, którego nie ma?
- Nicole zerknęła na stół, na którym coś leżało. Coś kolorowego, niezwykłego. Była najwyraźniej podniecona. Nie widziała czegoś podobnego we własnym domu.
- O!
 - Co?
 - Jeszcze nie wiem.
 - Mam wrażenie, że oglądałaś ostatnio dużo telewizji i słuchałaś często radia, czyż nie?
 - Tak. Jak zwykle.
 - Może to coś od nich.
 - To wycieczka na Cypr – rzekła oniemiała Nicole. – Wygraliśmy wycieczkę na Cypr! Jeszcze nigdy nie byłam w Europie!
 - Gratulacje – wymamrotał.

- Jeden pobyt dla osoby dorosłej, drugi dla dziecka. Skąd wiedzieli, że mam dziecko?
- Oni w mass mediach wiedzą wszystko, nawet, o której godzinie śpię, chodzę, leżę lub nic nie robię, a kiedy otwieram butelkę Jacka Danielsa.
- Chyba tak. Ale nie mogę lecieć. Muszę być z tobą, nie zostawię cię nawet na chwilę.
- E, nie przesadzaj, jestem już dużym chłopcem.
- Wymagasz leczenia.
- Dam sobie radę. Jak wrócisz, będę już w trakcie kuracji u doktora Rogersa. On mnie postawi na nogi.
- Wiem.
- Ja też. Zrobię to tylko dla ciebie.
- I dla naszej córki.
- I dla niej.
- Nawet jak przez chwilę będzie ci ciężko, ja będę obok. Pobyt na Cyprze to nie wieczność. I twoje problemy to nie wieczność. Wyjdiesz z tego. Jestem z ciebie dumna. W końcu coś z tym zrobisz.
- Zrobię na pewno.
- Przyślę ci pocztówkę.
- To bez sensu.
- Dlaczego?
- To takie trywialne. Muszę się napić – to rzekłszy, Ruby dźwignął się ciężko z tapczanu i powlókł do barku. Nalał szklankę. Wypił. Wciągnął nosem powietrze. Życie trwało dalej. Miał już ostro w czubie, bełkotał i zataczał się po pokoju. W pewnej chwili wyskoczył z kapci i potknąwszy się o kant dywanu, runął na podłogę. Potem zasnął. Jak pijak. Na ziemi.

Kiedy wkrótce potem Nicole wraz z córką poleciała na Cypr, Ruby spotkał się pewnego dnia z Jimmy'm Dwa Razy, który zajmował się ciemnymi interesami, i był gościem wymawiającym każde słowo dwa razy.

Podobno w dzieciństwie paliły mu się włosy i doznał szoku.

- Masz to, co chciałem? – spytał Ruby.
- Tak. Data ważności mija aż za trzy lata.
- Nieźle. Więc to świeżyzna.
- Można tak to nazwać – powiedział Jimmy dwa razy.
- Ile płacę?
- Nic. To twój debiut. Na zachętę daję za friko. Wiesz, że wrócisz?
- Nie wiem.
- Ale ja wiem.

Mylił się.

5

W barku nie było już nic.

Ruby wypił wszystko, nawet jakieś stare wino australijskie.

Potem poszedł do łazienki i napuścił wody do wanny.

Był w ubraniu i butach.

Były dziurawe i zabłocone.

Na głowie miał słomkowy kapelusz, który dostał od Nicole na urodziny.

Kiedy usłyszał, że woda zaczęła przelewać się na podłogę, wrócił do łazienki i zakręcił kurki. Na małym, pokrytym kafelkami murku położył coś, co zabrał ze swego pokoju, po czym tak, jak stał wszedł do wanny. Odruchowo spojrzął na zegarek – była 20.30.

6

- Dziadziu, a co ci się dziś śniło? – spytał Ruby, bawiąc się małymi, ołowianymi żołnierzami. Miał dwie armie – Napoleona i Prusaków.
- A ty, mały, ty mi się śniłeś, jak łowiliśmy pstrągi na sztuczną muchę. W tym potoku, za naszą stodołą, za kieratem, którym często miałem zboże – odparł dziadek Anthony.
- Tak, wiem.
- Brodziliśmy po kolana w lodowatej wodzie. To był wymarzony dzień na łowienie. Ty miałeś pomarańczową linkę, ja żółtą. Na końcu przyponu mucha. Kręciliśmy łoża w powietrzu i spuszczaaliśmy przywęty na wodę. Pod przeciwnym brzegiem, pod nawisem gałęzi, była ich kryjówka. Często wychodziły do much. To były tęczaki. Złowiliśmy po dwa. Babcia je usmażyła.
- A mogę powiesić głowy na gwoździach na ścianie? – spytał Ruby.
- Pewnie, mały, a wieszaj – odparł dziadek.
- Są już suche, objedzone przez pszczoły i muchy.
- Jasne, nie będzie z nich smrodu.
- Dziadku?
- Co?
- A jutro znów będziemy łowić?
- Tak, jutro pójdziemy na karasie. Biorą na robaka. Są grube i pyszne, to takie małe karpie. Biorą jak oszalale. Jak świeci słońce widać ich setki.
- A gdzie są?
- W małym, leśnym jezioru.
- A czemu zabijamy ryby?
- Człowiek zabija, żeby mieć co jeść, nie zabija dla przyjemności. To konieczność, jak sen, czy chodzenie do szkoły.
- I my tak robimy?
- Dokładnie.
- A jeśli ktoś zabija, bo lubi?
- Grzeszy. To bardzo zła rzecz.
- My tak nie robimy, prawda?
- Prawda, mały.
- A co jest jeszcze prawdą, dziadziu?

- To, że musisz kochać i szanować innych – kolegów, obcych, rodziców i nas. Mówić szczerze, co myślisz, nie kłamać. Nie krzywdzić. Nie zadawać bólu. Pomagać. Mówić dobre słowo. Wybaczać, nie mścić się. Nie oczerniać. Nie kraść. Nie manipulować życiem innych. Patrzeć z wyrozumiałością na błędy i ułomności ludzkie. Nie zdradzać za pieniądze. Nie potępiać słabszych. Dawać odpór demonom, co żyją w duszy każdego z nas. Nie pozostawać obojętnym. To najgorsze. Być zimnym i obojętnym. Kamieniem. Głazem. Upiorem. Kiedy kolega z klasy chce kanapkę, daj mu ją. Kiedy dziwny pan na ulicy poprosi cię o drobne, daj mu je. To tak mało kosztuje, a tak wiele znaczy. Być człowiekiem, to bardzo

trudna rzecz. Choćby względem samego siebie...

- Co masz na myśli?
- Czasem zabijamy sami siebie. Prawda, babciu? – spytał nagle dziadek.
- Tak, to szczerą prawdą, synku, czasem człowiek jest sam dla siebie najgorszą bestią - odpowiedziała babcia Nelly.
- Co to znaczy?
- Niszczy własne życie. Ktoś kiedyś powiedział, że kto nie szanuje swego życia, nie zasługuje na nie. Nie myślę tak, to okrutne myślenie.
- Babcia ma rację – ludzie zabijają własne ciała.
- Jak? – zapytał Ruby.
- Mocne trunki, narkotyki, hazard, szybkie samochody, złe towarzystwo.
- Co to znaczy hazard?
- To, kiedy nie dbasz o siebie, kiedy nie zależy ci na własnym życiu i zdajesz się na pastwę losu.
- A co to jest pastwa losu?
- To siła, która może popchnąć cię do piekła.
- A co to piekło?
- To koniec ciebie, to koniec twojej drogi. Potem jest już tylko płacz i zgrzytanie zębów...
- Są diabły?
- Tak, jest wiele. Są wokół człowieka i nigdy nie odchodzą.
- I tak jest już zawsze?
- Zawsze.
- Ale mnie to nie spotka, prawda?
- Tak, mały.

7

Następnego dnia poszli z dziadkiem na karasie.
Las czule szumiał, słońce pieściło twarz, wiatr muskał wędki.
Ryb było w bród.
Pływały majestatycznie pod samą powierzchnią i zbierały z niej owady.
Brały jedna za drugą – wielkie, brązowe, grube.
Choć nie miały wąsików, wyglądały jak karpie.

Kiedy wrócili do domu, babcia Nelly właśnie niosła parnik, aby nakarmić świnię.
Z chlewa dobiegało ich radosne chrząkanie.

- Dziadku, oskrob ryby – rzekła do dziadka Anthony'ego.
- Się robi, Nelly.

Potem, kiedy już jedli ryby, znów nawiązała się osobliwa rozmowa.
Zaczęła babcia:

- I taka rybka żyje, byśmy mieli kolację.
- Ktoś żyje dla kogoś – pociągnął dziadek.
- A ja dla kogo żyję? – spytał Ruby.
- Dla tych, którzy cię kochają.
- Ale rodziców *JUŻ NIE MA*.

- Skąd wiesz?
- *JESTEM PRZECIEŻ CHŁOPCEM Z PRZYSZŁOŚCI.*
- Tak?
- Tak, jestem w waszym śnie. Jakoś przed chwilą to zrozumiałem.
- Może my jesteśmy w twoim?
- To się nie dzieje, babciu i dziadku.
- My jesteśmy żywi.
- Nie, wy już dawno nie żyjecie.
- Więc czemu rozmawiamy, czemu jemy ryby?
- Nie wiem. Ja nie jestem już małym chłopcem. Przypomniało mi się, że mam rodzinę – żonę i córeczkę. Tylko teraz jestem mały i wyglądam jak dziecko. Tylko przy was. Wiem, że jesteście tu, ale wiem też, że to się nie dzieje naprawdę.
- I co ci się jeszcze przypomniało?- spytał dziadek.
- Nic. Jestem dobrym człowiekiem, chodzę do pracy, nie piję i wszyscy mnie szanują za to, kim jestem.
- Ktoś chce z tobą porozmawiać.
- Kto?
- Kozljuzlju.
- Ten mały Turek?
- To już duży chłopiec. Daleko zaszedł...
- W czym?
- W swoim życiu. On też chciałby zjeść rybę.
- Dobrze, wpuście go.
- Koz! – zawołał dziadek.
- Już idę! – odkrzyknął Kozljuzlju.

Usiadł obok nich, lecz nie był już małym chłopcem – był dwumetrowym, zniszczonym życiem mężczyzną, o milionie zmarszczek na twarzy, podkrążonych, zużytych oczach i smutnym oddechu. Tak, miał bardzo smutny oddech i widać było, że zbyt łatwo przegrał życie. Jego ziemista cera świadczyła o setkach nieudanych bojów z bytem. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto ma coś wesołego do powiedzenia.

- Jedz, Koz – rzekła babcia.
- Dziękuję pani, od wczoraj nie miałem nic ciepłego w ustach.
- Znów piłeś?
- Piję codziennie.
- Czemu?
- Bóg mnie zostawił.
- Może to ty zostawiłeś Jęgo?
- Nie, On mnie.
- Skąd to wiesz?
- ...i ujrzałem diabły, co szły w moim kierunku...
- Ale do rzeczy, Koz – nalegał dziadek.
- Boga nie ma już przy mnie. Żyję z diabłem, co siedzi mi pod skórą i leje w gardło wódkę.
- Opowiedz nam o swojej śmierci – rzekła z uśmiechem na twarzy babcia.
- Dobrze.
- To sen – powiedział chłopiec – to sen i ja to wiem. Was nie ma... Was nie ma.

Kozljuzlju zaczął.

A było tak:

- Miałem piękną, dobrą żonę i córkę, Fayez, małego skarba, którego kochałem nad życie. Byliśmy kochającą się rodziną i wszystko było między nami jak Bóg przykazał, dopóki nie zacząłem spotykać się po robocie z kumplami w lesie, by pić. Piliśmy często i dużo. Czasem spałem pod gołym niebem we własnych rzygowinach. Tak było codziennie. Nawet, gdy padał deszcz lub kiedy był siarczysty mróz i śnieżyca. Zaczynałem od kieliszka, skończyłem na wiadrze...

- I co dalej?

- Kiedyś diabeł mnie opętał i wysłałem rodzinę do matki na wieś. Chciałem ostro zabalować.

Nie potrzebowałem ich spojrzeń. Miałem zamiar pić i pić. To było już silniejsze ode mnie.

Kiedy pewnego razu Bela Turk przyniósł skrzynkę tanich bełtów, wszedłem w to i zapiłem się na śmierć. Moją trupę znaleziono potem w rowie z wodą...

- Smakują ci karasie? – zapytała babcia.

- Są pyszne – odparł Koz.

- Jak to pyszne? Ty nie żyjesz.

- To co? Są i tak pyszne, jak te, co dają w Turcji.

- Ruby?

- Co, dziadku?

- A pamiętasz Hanka Marlowe'a?

- Oczywiście. Był muzykiem amatorem. Grał na gitarze.

- Zaszedł daleko, dalej niż Koz...

- To znaczy?

- Zaraz się dowiesz. Zawołajmy go. Pewnie chętnie zje z nami rybę. Hank!

- Już idę! – zawołał Hank i podbiegł znikąd do stołu.

Był wysokim, rudawym blondynem.

Nosił okulary i miał nieco trywialny wyraz twarzy – sprawiał wrażenie kogoś opóźnionego w rozwoju.

- Siadaj, karaś stygnie – rzekła wesoło babcia.

- Wyborne – stęknął Hank. – Dziś łowione?

- Ano dziś – odpowiedział dziadek.

- Opowiedz, jak to się sprawy miały, tylko tak, żeby wszystko zostało powiedziane – powiedziała nagle poważnym głosem babcia.

Hank wydłubał ość spomiędzy swych pożółkłych zębów, wciągnął głęboko powietrze, po czym zaczął:

- Wicie, rozumiecie. Jak to w branży muzycznej, balet goni balet. I się chla, chla się na maksa. Aż pysk nie żre dywanu. Taki lajf. Nie idzie nie pić. Nie ja to wymyśliłem. I polecałem z tym koksem...

- Czyli?

- Pewnego dnia mi odwalilo i zacząłem myśleć inaczej. Inaczej, kumacie? Od picia padło mi na rozum. Że żona ma kochanków. Nie kochanka, a kochanków. Wielu. Pochowanych po szafach, za łózkami, za zasłonami, w piwnicy, w garażu, w moim volkswagenie garbusie, w krzakach, pod dywanem, na pawlaczu, za kibelem, gdziekolwiek. Ważne, gdzie? Grunt, że byli wszędzie! I ja ich ganiałem po domu z siekierą.

- I złapałeś któregoś?

- Nigdy. Cwani byli, cholery...

- No i co dalej?

- W końcu, kiedy pojąłem, że jest ich w domu dwunastu, bo Bóg do mnie przemówił, kiedyś w piątek po nieszporach, i rzekł, że „na wzór dwunastu apostołów dwunastu kochanków żony mieć będziesz”, wpadłem w szal i wziąłem sprawy we własne ręce.

- Co masz na myśli?

- Zarąbałem wszystko, co było ich kryjówką: szafy, pawlacze, łóżka, komody, krzaki itd. Po drodze zamordowałem własną rodzinę... Ale rozumiecie, pijany byłem...
- No i?
- Potem wlałem do garażu i otworzyłem sobie żyły żyłką i popiłem gorzałą.
- Smakuje ci rybka, Hank?
- Wyborna.
- To fajnie.
- Babcia smażyła na maselku?
- Ano.

Ruby nagle rzekł:

- Koz i Hank, wy nie żyjecie, was nie ma. Jesteście częścią mego snu. W końcu wszyscy znikniecie i wróci stare życie.
- Nie ma, nie ma – odparł Koz. – A może jesteśmy i jednocześnie nas nie ma?
- O! Właśnie, może istniejemy, a jednocześnie nie – przytaknął Hank.
- Tak, mały, oni dobrze mówią – czasem to, co widzisz, to złudzenie, a czasem złudzenie jest jedyną prawdą, jaka istnieje...
- A czym są, dziadku, tak naprawdę?
- Mały, chłopcy nie przyszli tu przypadkowo. Chcieli ci coś opowiedzieć. O sobie, o życiu. Uszanuj to i zrozum. To ważne. Dla ciebie, nie dla nas – my jesteśmy już tylko twoim snem we śnie lub jak wolisz inną rzeczywistością. Jesteśmy niejako w gościach. Jest tyle wymiarów bytu, tyle płaszczyzn trwania. Jeszcze nie raz pójdziemy razem na ryby, ale nigdy już nie poczujesz ich smaku. Nic nie powtórzy już tego wieczora...
- Dlaczego, dziadku?
- Tu nasza fizyczność się kończy.
- Co to znaczy?
- Będę wracać, i chłopcy też, i babcia, ale nie tak jak dziś, jak tego dnia, kiedy wylądowałeś w tej cholernej wannie...
- Wannie?
- Obudź się, Ruby, obudź się do życia, śmierć cię jeszcze nie chce – my to wiemy. Dla ciebie to wszystko nadal trwa. Twoje tu i teraz się liczy. Wracaj do swoich, póki ich jeszcze masz. I skończ, proszę, skończ z tym...
- Z czym, dziadku?
- Ty wiesz... - i wypowiedziawszy te słowa, jednym głosem z babcią, dziadek rozpląnął się w niebycie.

8

Ruby ocknął się w wannie pełnej wody, która przelewała się obficie na podłogę. Był w ubraniu, w butach i kapeluszu. Na ścianie płaszczył się rozgnieciony pet. Żałośnie jak byt ślimaka. Na zegarku była teraz 20.35, a zatem minęło tylko pięć minut, długich jak wieczność. Wtedy to zauważył... Dopiero wówczas, kiedy resztki wizji pochłonął bezpowrotnie niebyt. Wtedy też w mig pojął, że nie spał – tego był pewien.

Na małej, wyłożonej różowymi kafelkami półce, leżała fiolka luminalu.

*Żyletkę trzymał w prawej dłoni, niepokojąco drżącej, blisko lewego nadgarstka.
Wtedy pojął wszystko.*

Choć był pijany, wręcz zamroczony, nagle jego mózg przedziwnie zaskoczył i nie rozumował już jak zwykły pijak. Nieoczekiwanie powróciło świadome myślenie. I władza w nogach.

- A więc jednak. A więc chciałem to zrobić... A gdzie dziadek i babcia? Gdzie Kozljuzlju i Hank? Cemu ich nie widzę? A ryby? Były takie realne, takie smaczne. Co jest? Cemu tkwię w tej przeklętej wodzie?

Z trudem wylazł z wanny i ociekając wodą poszedł do pokoju.

Otworzył drzwi od sypialni, gdzie za łóżkiem miał ukryte trzy flaszki whisky, wyjął wszystkie butelki, otworzył potem okno i bezceremonialnie wyrzucił je wprost na ulicę.

Rozległ się ostry, suchy trzask.

Wrócił do pokoju i zamówił rozmowę z Cyprem.

Trochę to trwało, zanim ją znaleźli.

Mogła wtedy robić cokolwiek, być gdziekolwiek, niekoniecznie w hotelu.

Chciał poczuć Nicole, jak nigdy, może jak nigdy od nigdy.

- Mówi się – powiedziała panienka w eterze.

- Cześć, kochanie – rzekł jakby nigdy nic.

- Cześć, Ruby – odpowiedziała Nicole.

- Chciałem ci coś powiedzieć. Właśnie dziś, właśnie teraz.

- A co takiego?

- To już koniec.

- Z czym?

- Z tym.

- Byłeś u doktora Rogersa?

- Nigdy nie widziałem go na oczy.

- Więc jak?

- Jak wrócisz, wszystko ci opowiem – i to powiedziawszy, odłożył słuchawkę.

Potem poszedł do łazienki, by spuścić wodę z wanny.

27 października 2015

stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 01.11.2015 06:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.